

DOKTOR STYKS

MARCIN WOLSKI
DOKTOR STYKS

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © Marcin Wolski 2011
All rights reserved

Redaktor prowadzący
Tomasz Zysk

Redaktor
Jan Grzegorzcyk

Redaktor techniczny
Jarosław Szumski

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna M. Damasiewicz

Zysk i S-ka Wydawnictwo pragnie podziękować Muzeum Pałacowi w Wilanowie
za udostępnienie fotografii „Dworzec Wiedeński w Warszawie”.

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-912-9

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, fax 61 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

— Macie zatem kolejną ofiarę, komisarzu?

— Niestety już szóstą, panie pułkowniku.

— Podobna do poprzednich?

— Trudno mówić o podobieństwie, ciało zostało odnalezione w stanie dużego rozkładu. Przebywało w wodzie co najmniej kilka miesięcy. W tym czasie rzeka zamarzała, odmarzała, znów skuł ją lód... Poprzednich denatów znajdowaliśmy najwyżej po paru dniach od ich śmierci.

— To dziewczyna?

— Nie, tym razem mężczyzna, a w zasadzie młody chłopak, najwyżej szesnaście, siedemnaście lat. Pierwociny zarostu. Chyba nawet jeszcze się nie golił.

— Można mówić o pewnej symetryczności zbrodni. Sześć ofiar, według płci pół na pół.

— Nie wiemy, czy odnaleźliśmy wszystkie ofiary.

— Wydaje się, że sprawcy nie zależy szczególnie na ich ukrywaniu. Co można tym razem uznać za bezpośrednią przyczynę zgonu?

— Tak samo jak poprzednio, chirurgiczne cięcie. Choć nie brak innych obrażeń. Należy przypuszczać, że również mógł być przedmiotem wynaturzonych praktyk seksualnych.

— Niedobrze. Dzięki Bogu, że prasa nie wiąże tej serii „topielców” w jedną wizję jakiegoś seryjnego mordercy.

— Ale my wiemy, że to jest fakt.

Ostatniej rzeczy jednak, której potrzebujemy, komisarzu, to wybuch paniki. Naszemu narodowi wobec zewnętrznych zagrożeń nade wszystko trzeba jedności. Co nie znaczy, że

nie powinniście dołożyć wszelkich starań, aby dorwać tego drania.

— Raczej drani, panie pułkowniku! Wyniki dotychczasowych badań wszystkich odnalezionych ciał wskazują, że denatki i denaci padli ofiarą seksualnych praktyk większej liczby osób. Podobnie resztki spermy wskazują na osoby różnych grup krwi, biorące udział w tym haniebnym procederze.

— Cholera. Będę musiał zameldować generalnemu inspektorowi sił zbrojnych. Pan prezydent też interesuje się sprawą. Nadaliście jej taki dziwny kryptonim...

— „Doktor Styks”.

— Właśnie. Skąd taki pomysł?

— Cóż, wygląda na to, że w zbrodniach musiał uczestniczyć ktoś o doświadczeniu chirurga.

— Rozumiem doktora, komisarzu. A Styks?

— Rzeka oddzielająca świat żywych od umarłych. Nie należy zapominać, że wszystkie ofiary znaleziono w wodzie.

— Ale nie tylko to je łączy.

— Nie tylko. Żadnego z ciał tych młodych ludzi nie udało nam się dopasować do osób figurujących na naszej liście zaginionych. Zupełnie jakby pochodziły z Księżycy.

— Albo z zagranicy.

— Albo. Rozumiem, że temu należy zawdzięczać zainteresowanie Drugiego Oddziału.

— Komisarzu Radwan, my się wam do śledztwa nie wtrącamy.

— Wiem. Tylko chcecie być informowani.

— Właśnie. Pamiętajcie jednak, że służymy jednej sprawie i jednej Rzeczypospolitej.

(fragment słuchowiska radiowego)

I. Śpadkobierca

Nekrolog naklejono na drzwiach prowadzących do radia, więc nawet człowiek tak często przebywający poza rzeczywistością jak Gwidon Michałowicz musiał go zauważyć. Może zresztą w innej sytuacji przegapiłby żałobny prostokąt. Nadchodził około godziny jedenastej od strony przystanku na wiadukcie Trasy Łazienkowskiej ponad Myśliwiecką. Jak zwykle zatopiony był w myślach, tym razem szukając rozwiązania dla swego najnowszego słuchowiska mającego rozgrywać się na stacji kosmicznej, ale zobaczył Agnieszkę. Jej złocistych włosów i smukłej figury nie sposób było przeoczyć. Stała pod drzwiami, wpatrując się w czarne litery. Wyglądała na wstrząśniętą.

Redaktor Piotr Abramczyk

Pisarz i publicysta

Urodzony 23 marca 1918 roku. Zmarł nagle

11 listopada bieżącego roku.

Pogrzeb odbędzie się 15 listopada na Cmentarzu

Komunalnym, dawniej Wojskowym, na

*Powązkach w Warszawie. Początek uroczystości
pożegnania w Domu Przedpogrzebowym*

*o godzinie jedenastej.
Cześć jego pamięci.
Rodzina i przyjaciele*

— Nie wiedziałam, że miał tyle lat. Wydawał się taki młody... — powiedziała Agnieszka. Zabrzmiało to bardzo uprzejmie z jej strony. Z perspektywy tej najwyżej dwudziestoparoletniej radiowej techniczki wybitny literat musiał wydawać się niemal starcem.

— „Zmarł nagle”... Nie wie pani, co mu się stało?

Jakoś nie wyobrażał sobie Piotra jako ofiary zawału. Pił mało, nie palił, do pracy przyjeżdżał na rowerze, a w niedzielę biegał.

— Nie mam pojęcia. Może jakiś wypadek?

— Nie miał samochodu.

— Wypadki zdarzają się również pieszym.

Chętnie porozmawiałby jeszcze chwilę. Samo przebywanie z Agnieszką dostarczało mu sporo satysfakcji, ale piękna techniczka wyraźnie się śpieszyła i po wejściu do holu skręciła w stronę Biura Realizacji Małych Form. Zdążył jeszcze zobaczyć pięknie wymodelowane łydki i już jej nie było.

Więcej szczegółów o śmierci Abramczyka poznał w Teatrze Polskiego Radia, sąsiadującym z jego pokojem. Jeszcze szedł korytarzem pierwszego piętra, kiedy dobiegł go skrzekliwy głos kierowniczkii produkcji.

— Zwariował, stary kretyn! Kompletnie zwariował!

— Dlaczego pani tak uważa, pani Mario? — po głosie poznał jednego z najbardziej znanych aktorów średniego pokolenia, Jurka Bargiela.

— Normalni ludzie się nie zabijają.

— Tylko kto jest dzisiaj normalny?

Po pięciu minutach znał wszystkie szczegóły. Zgon nastąpił dwa dni temu, nocą.

Pisarz, od pewnego czasu mieszkający samotnie, rzucił się z okna piątego piętra starej kamienicy w oficynie przy Poznańskiej. W chwili tego desperackiego kroku znajdował się w mieszkaniu sam. Drzwi były zamknięte od wewnątrz na łańcuch.

— A skąd pani to wszystko wie? — zapytał.

— Ja bym czegoś nie wiedziała?

Tajemnicą poliszynela było, że mąż kierowniczkii produkcji pracował w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Ona sama w towarzystwie artystów, których codziennie dziesiątki przewijały się przez jej pokój, nie afiszowała się tym faktem.

— Gwidon, wzięłeś klucz od naszego pokoju?

Do sekretariatu zajrzał Robert Lejman. Nowy nabytek redakcji, młody zdolny. I już partyjny.

— Właśnie idę!

Dopiero gdy otwierał drzwi do redakcji, dotarło do niego, co się stało. Słuchacze stracili autora uwielbianych audycji, radio wieloletniego pracownika, a on swego mentora i mistrza. — „Cholera jasna!” — zaklął w duchu.

Robert tymczasem nie wydawał się wstrząśnięty wiadomością dnia. Może jego praktyczny umysł przeliczał już, ile miejsca zwolni się na antenie. I nie omieszkął opieprzyć Michałowicza za niewyłączony poprzedniego dnia magnetofon, staroświecką „kostkę” spełniającą również funkcję prymitywnej montażówki.

Gwidon, nadal wstrząśnięty, nie mógł patrzeć na jego zadowoloną mordę, więc wyszedł na korytarz i zajrzał do studia M2. Spodziewał się zobaczyć tam Agnieszkę, ale oprócz reżysera zastał jedynie starszawą realizatorkę. Jak co tydzień nagrywali grupę satyrycznych zgrywusów. Gwidon lubił czasem przysłuchiwać się tej audycji. Kibicował ich działalności podgryzania partii i rządu za pieniądze partii i rządu. Dziś jednak nie było mu do śmiechu. Zdecydowanie.

Jeszcze dwa i pół roku wcześniej nie przypuszczał, że będzie pracował w radiu.

W ogóle nigdy nie łączył swych aspiracji z tym środkiem przekazu. Oczywiście od dziecka chciał zostać pisarzem. Ale pisarstwo — w jego ówczesnym mniemaniu — to były książki, opowiadania w gazetach, ewentualnie artykuły. A i to wydawało się poza jego zasięgiem. Po ukończeniu polonistyki załapał się na posadę belfra do szkoły w Ursusie i same dojazdy do pracy zabierały mu kawał życia, nie pozostawiając wiele czasu na pisanie. Choć oczywiście nadal pisał. Przeważnie do szuflady, licząc, że kiedyś się na nim poznają. Nic nie wskazywało, by dzień ten kiedykolwiek nadszedł. Już podczas studiów okazało się, że po pierwsze, nie jest zwierzęciem stadnym, a po drugie, nie uprawia poezji, co mogłoby pozwolić na przyłączenie się do jakiejś artystycznej watahy. Tak więc w wieku 26 lat miał trzy opublikowane opowiadania, kilkanaście aforyzmów i powieść, przetrzymwaną trzeci rok przez Wydawnictwo Literackie, mimo wstępnej akceptacji i dobrych recenzji wewnętrznych. Na dodatek tamtego smutnego kwietnia zmarła mu matka, będąca dotąd jego stymulatorem, drogowskazem i aniołem stróżem. Despotyczna, zaborcza, ale kochana.

Na jej pogrzebie pojawił się Piotr Abramczyk. Gwidon nie miał pojęcia, że znany autor słuchowisk radiowych, telewizyjnego serialu i kilku poczytnych książek znał prywatnie skromną urzędniczkę Irenę Michałowicz. I że kiedyś łączyło ich coś poważniejszego.

— To była moja jedyna prawdziwa miłość — wyznał mu parę dni później, kiedy siedzieli na kawie w Sejmowej przy ulicy Pięknej (do spotkania doszło z inicjatywy Abramczyka). Innym razem wspomniał, że walczyli razem w powstaniu, ale nie rozwijał tego tematu. Może dlatego, że matka pozostała wierna AK-owskiej tradycji, co przypłaciła więzie-

niem, („dwa lata jak dla brata”), a Piotr postawił na władzę ludową.

W każdym razie znakomity pisarz czuł się zobowiązany coś zrobić dla syna swojej powstańczej kochanki. Przeczytał jego opowiadania i powieść. Namówił do napisania słuchowiska („W radiu są szybkie pieniądze”). Był życzliwy, choć niesłychanie wymagający.

W ciągu tygodnia Gwidon stworzył swoje pierwsze słuchowisko i zaniósł je mistrzowi, licząc na pochwały. Ten zwrócił mu tekst po dwóch dniach. Ze scenariusza ostały się jedynie dwie ostatnie kartki, reszta powędrowała do kosza. „To, co zostało, jest świetne — brzmiała recenzja. — Trzeba tylko pójść dalej w tym kierunku. Nie nudząc i nie opowiadając rzeczy, które są oczywiste. No i musisz wykombinować jakąś puentę, która wywróci wszystko do góry nogami”.

Posłuchał, napisał raz jeszcze i efekt przerósł oczekiwania. Słuchowisko nie tylko poszło na antenę, ale otrzymało wyróżnienie w konkursie, na który doniósł je w ostatniej chwili przewodniczący jury — Piotr.

Miesiąc później pojawiła się szansa na pół etatu w radiu. Po roku Michałowicz został redaktorem pełną gębą. Obecnie w wieku 28 lat miał prawo uważać się za dziecko szczęścia.

Co nie znaczy, że nie mogło być jeszcze lepiej. W zeszłym tygodniu w radiowej stołówce, położonej w suterynie gmachu przy Myśliwieckiej, Abramczyk obiecywał wkręcenie swego młodego protegowanego do nowego serialu telewizyjnego, mającego opiewać historię wielopokoleniowej rodziny polskich lekarzy.

— Samemu coraz mniej chce mi się pisać — wyznał.

A teraz wszystko trafił szlag. Nie mógł myśleć o tym spokojnie — przecież samobójstwo Piotra nie miało najmniejszego sensu! Ludzie, jeśli się zabijają, robią to z konkretnych

przyczyn, najczęściej paru naraz. A on? Był uznany, honorowany. Nie miał kłopotów ze zdrowiem ani z kobietami.

Gwidon widział, jak traktowały go aktorki, realizatorki czy pańce z Teatru. Sikały po nogach, słysząc jego nieco chrapliwy bas, któremu towarzyszyły szelmowskie spojrzenia spod krzaczastych brwi. Czy dyskutował to uwielbienie? Jeśli nawet, to należał do ludzi skrytych i nie chwalił się sukcesami. Zwłaszcza przed swym uczniem. Będąc opiekuńczy, pozostawał wymagający i surowy.

Pewnego razu maszynopis słuchowiska fantastyczno-naukowego wrócił do Gwidona z uwagą naczelnego reżysera: o kwadrans za długie.

Michałowicz męczył się trzy godziny nad skrótami, ale udało mu się pozbyć jedynie czterech linijek. Kiedy poprosił o pomoc Abramczyka, ten wziął maszynopis do ręki i na chybił trafił wydarł cztery kartki. Efekt był zdumiewający. W dodatku po miesiącu od premiery pojawiła się nawet propozycja telewizyjnej adaptacji scenariusza w ramach cyklu „Najważniejszy moment życia”. Co ciekawe, kiedy ledwie żywy ze szczęścia wstydził się swej radości, mistrz obsztorcował go, wołając:

— Ciesz się, chłopcze, ciesz, ile wlezie! Bo w naszym zawodzie na jeden sukces przypada dziesięć klęsk.

Co musiało się wydarzyć, żeby ktoś taki postanowił targnąć się na własne życie?

*

Gwidon, jak cała jego generacja, nie był szczególnie religijny. Musiał jednak przyznać, że świecka ceremonia pogrzebowa, bez księdza i katolickiej celebry, dołuje człowieka i tak już zdołowanego odejściem przyjaciela. I co z tego, że przemawiał wiceminister kultury i sztuki i sam prezes ZLP, że wartę honorową trzymali harcerze i przedstawiciele klasy

robotniczej. W domu przedpogrzebowym brakowało czegoś nieuchwytnego, co przydaje śmierci majestatu, a żywym zostawia pociechę. Jeśli życie pozagrobowe jest jedynie mirażem, to stanowi on najwspanialszą rzecz, jaką wymyśliła sobie ludzkość.

Jednego nie można powiedzieć o pogrzebie Abramczyka — że był krótki. Lista osób wygłaszających przemówienia ciągnęła się jak kolejka do domu meblowego Emilia. Nie dziw, że na końcu przy grobie pozostało niewielu żałobników. Mimo że autokar radiowy miał odjechać dopiero po zakończeniu pogrzebu, wielu wołało urwać się i wrócić tramwajem. Wśród tych, którzy zostali złożyć kondolencje na ręce siostry zmarłego (była żona się nie pojawiła), znalazł się redaktor naczelny. Niski mężczyzna o orlim profilu. Michałowicz przyjął to jako wyraz szczególnego szacunku dla zmarłego. Sam wymamrotał parę zdawkowych słów i ucałował starczą rękę, przypominającą bardziej ptasią kończynę (pani Mira Zawadzka była co najmniej dziesięć lat starsza od brata i zdecydowanie bardziej semicka niż on; być może takie sprawy uwydatniają się z wiekiem).

Miał już wracać, kiedy nieoczekiwanie między mogiłami mignął mu jasny płaszczyk i burza włosów. Agnieszka? Nie widział jej w radiowym autokarze, musiała więc dojechać na własną rękę tramwajem. Skoczył w jej kierunku i omal nie wpakował się do świeżo wykopanej mogiły, czekającej na jakiegoś kolejnego umarłaka. W ostatniej chwili przytrzymał go postawny mężczyzna w eleganckiej czarnej jesionce i staromodnym kapeluszu na głowie.

— Proszę uważać — powiedział. — Życie od śmierci dzieli zaledwie jeden krok.

Gwidon, który równocześnie zdołał chwycić się kamiennego krucyfiks, chciał podziękować nieznanemu, ale w tym momencie zorientował się, że spadły mu okulary. Nie-

dobrze! Jak każdy krótkowidz po zdjęciu okularów, jeśli tylko nie położył ich w ustalonym miejscu, miał ogromne kłopoty, żeby je znaleźć. Znalazły się same. Ledwie uczynił jeden krok, rozległ się charakterystyczny chrzest pękającego szkła.

Opadł na kolana i chwilę macał po ziemi. Oprawka jakoś się trzymała, ale szkło jego lepszego oka poszło w drobniaki. Na pociechę pozostawało pęknięte, ale trzymające się w oprawce szkło drugiego oka, niestety o pięć dioptrii za słabe, by samodzielnie patrzeć przez nie na świat (mocniejsze być nie mogło ze względu na różnice między wadami w obu oczach). Co było robić? Wyprostował oprawkę, nałożył okulary na nos i podążył ku głównej alei. Po technicznie ani śladu. Skądinąd przy jego ułomności szansa wypatrzenia jej równała się zeru. Szedł na wpół ślepy i omal nie wylądował w ramionach kamiennego anioła.

W końcu dotarł do wyjścia. Ale dziewczyny nie znalazł ani przy bramie, ani w autobusie. Jako jeden z ostatnich z cmentarza wyszedł naczelnny rozmawiający z siostrą zmarłego. Zobaczywszy Gwidona, skinął na niego.

— Niech pan wpadnie do mnie do gabinetu jutro o dziesiątej przed kolegium — powiedział, po czym wsiadł do służbowego poloneza, co również dla autobusu stanowiło sygnał do zapuszczenia silnika.

Agnieszka już się nie pojawiła.

*

Nie miał pojęcia, czego może chcieć od niego naczelnny, w którego gabinecie był dotąd jedynie dwa razy. Raz, kiedy przyjmowano go do pracy, a powtórnie na naradzie dotyczącej słuchowisk. W wieczornym paśmie powstawało właśnie miejsce, gdzie tacy autorzy jak on mogli być nadawani częściej i dłużej. W dodatku ze znaczną swobodą w doborze tematów.

— Chodzi o to, by nasza rodzima twórczość mogła zrównoważyć ilość tłumaczeń i adaptacji — wyjaśnił szef.

Michałowicz spotkał w życiu wielu ludzi, lecz o niewielu mógł powiedzieć to, co o szefie. Był człowiekiem poważnym. Mówił mało, ale każde słowo było przemyślane, a decyzje konsekwentne. Z pewnością cieszył się zaufaniem komunistów. W niczym jednak nie przypominał jego dyrektora z Ursusa — ani pod względem fizycznym, ani psychicznym — ratlerka, trzęsącego się na widok byle czynownika. W dodatku naczelny, choć stanowczy i surowy, bywał dla swoich podwładnych niezwykle życzliwy. Kiedy przychodziło polecenie z góry usunięcia jakiegoś redaktora za wpadkę na antenie (słynny był *casus* spikera, który się przejęzyczył i zamiast towarzysz Gomułka powiedział Gadułka), on przechowywał delikwenta, przenosząc go do biblioteki czy archiwum, i czekał, aż sprawa przyschnie.

Tym razem z miny naczelnego trudno było Gwidonowi wywnioskować, czego ma się spodziewać — nagrody czy bury. Kiepsko spał w nocy, a teraz nastrój psuł brak dobrych okularów. W starych wyglądał jak lemur, w dodatku sporządzone gdzieś na początku jego studiów dziś były o kilka dioptrii za słabe, aby mógł w pełni podziwiać uroki tego świata.

Punktualnie o dziesiątej sekretarka wpuściła go do gabinetu. Redaktor zaczął rozmowę od pochwalenia jego zeszytygodniowego słuchowiska rozgrywającego się na planecie pożerającej lądujących na jej powierzchni astronautów.

— Umiesz tak tworzyć napięcie, że nawet mnie chodziły ciarki po plecach — powiedział.

Sporym zaskoczeniem była obecność w gabinecie jeszcze jednego gościa. W kącie pokoju, obok szafy pancерnej siedziała siostra Abramczyka, Mira Zawadzka, równie nieruchoma jak ona, tak że w pierwszej chwili Gwidon nie zauwa-